

Broma, Tadeusz

Wojenne wspomnienia sąsiada zza Wisły

Przegląd Pruszkowski nr 1, 45-52

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojenne wspomnienia sąsiada zza Wisły

Piszę o sobie, że jestem sąsiadem, bo przecież i Pruszków i moje Marki należały kiedyś do powiatu warszawskiego, więc jest w tym chyba trochę racji. A moje przeżycia mogą zainteresować czytelników "Przeglądu Pruszkowskiego", chociaż nie jestem pruszkowiakiem.

Latem 1939 roku nie wszyscy wierzyli, że wojna wybuchnie, ale było coś niespokojnego w powietrzu, w ludziach, nastrojach może i w przeczuciach.

Dla mnie pierwszym znakiem, że wojna może nadejść, było rozpoznanie, żeby wszystkie parkany malować na zielono. I trzeba było przerabiać wszystkie szczelne płoty, tak samo jak mury otaczające posesje. Sztachety musiały mieć odstępy, cegły w murze tak samo. Chodziło o to, żeby w razie użycia gazu przez nieprzyjaciela był przewiew. U nas, w Markach, właściciel fabryki włókienniczej - Anglik Wojtęt - musiał rozebrać mur przy swojej posesji i ogrodzić ją parkanem.

W remizie strażackiej odbywało się szkolenie starszej młodzieży i dorosłych w zakresie samoobrony na wypadek użycia przez wroga gazów bojowych. Wyznaczono też miejsca, gdzie mieszkańcy Marek obowiązani byli kopać schrony. Jednocześnie kobiety i dziewczęta przechodziły szkolenie sanitarne, przede wszystkim w niesieniu pierwszej pomocy. Prowadził je miejscowy lekarz dr Mieczysław Paszczyński oraz dyplomowana pielęgniarka Kazimiera Męcel i panie Szymańskie - matka i córka.

W sierpniu 1939 roku zatrzymał się w Markach oddział żołnierzy na nocleg. W mieszkaniu rodziców nocowało trzech oficerów. Kiedy rano wyszli już z domu, w pokoju, gdzie nocowali, znalazłem na podłodze kilka naboji do pistoletu. Pobiegłem za nimi i oddałem naboje.

- Przydadzą się na Niemca - powiedział jeden z oficerów.

Nadszedł 1 września. Kiedy obudziłem się, rodzice powiedzieli mi, że wojna się zaczęła. Od tej chwili wszystko się odmieniło. Teraz już wyraźnie czuło się niepokój, nawet radio nadawało zupełnie inaczej niż zwykle i nigdy nie zapomnę głosu syren.

W pierwszą niedzielę po wybuchu wojny, wychodząc z kościoła, zobaczyłem trzy niemieckie samoloty lecące w kierunku Warszawy. Naraz, nie wiadomo skąd, pojawił się polski samolot myśliwski i "siadł na ogon" trzech niemieckich maszyn. Zaczęła się walka powietrzna. Śledziliśmy jej przebieg z zapartym tchem. Wreszcie zobaczyłem, jak z samolotu niemieckiego buchnęły płomienie. Polak zwyciężył, co za radość! Strącony samolot spadł na Maciołku, koło Kobyłki.

Tej samej niedzieli był nalot bombowców niemieckich na Warszawę. Przelatując, Niemcy rzucili bomby zapalające i na nasze Marki. Trafili w drewniany pałac Wajtela, jedna bomba spadła na bazar, jeszcze inna na budynek mieszkalny, który spłonął, chociaż ludzie z poświęceniem starali się pożar ugasić.

Po kilkunastu dniach wojska niemieckie wkroczyły do Marek. Zajął fabrykę i pałac Brykssa. Budynek ten stoi do dnia dzisiejszego. Nadjechała też artyleria niemiecka i zaczęła ostrzeliwać Warszawę. Samoloty nadal rzucały bomby na broniącą się stolicę. Tylko jeden z nich został strącony przez pociski artylerii przeciwlotniczej. Trafiony został w skrzydło, które spadło na brzeg rowu tuż koło stacji w Drewnicy. Samolot, koziołkując, runął na łąkę w odległości mniej więcej 300 metrów od szosy warszawskiej. Poległych pilotów pochowali ich koledzy z Wermachtu kwaterujący w Markach. Na wiosnę 1940 roku odbyła się ich ekshumacja..

W 1940 roku, po ukończeniu szkoły, nie mając jeszcze ukończonych 15 lat, zacząłem zarabkować, pracując częściowo jako praktykant, częściowo jako goniec w firmie elektrotechnicznej inżyniera Stanisława Eysmonta w Warszawie przy ulicy Hożej 70. Montowałem i naprawiałem żelazka elektryczne, kuchenki, piecyki. Poza tym rozwodziłem rykszą do innych firm przewody elektryczne, linki i inne materiały.

Kiedyś wyjeżdżając rykszą z bramy, zobaczyłem broczącego krwią mężczyznę biegnącego w kierunku ulicy Emilii Plater. Na wysokości Zakładów Mleczarskich został on ostrzelany przez mężczyznę stojącego na balkonie domu Hoża 47 lub 49. Co się stało dalej, nie wiem, bo okazało się, że jeden z pocisków przebił dętkę i musiałem zawrócić do firmy.

W połowie października 1942 roku w Markach, na gruzach bazaru, który spłonął w pierwszą niedzielę po wybuchu wojny, Niemcy postawili szubienicę. Zginęło na niej 10 mieszkańców Marek, zakładników, jak to napisali Niemcy w obwieszczeniu. Idąc do pociągu, którym miałem jechać do pracy, zobaczyłem powieszonych. Jeden z nich przypominał wzrostem mego brata. Serce we mnie zamarło, więc pobiegłem do spółdzielni, gdzie mój brat był kierownikiem. Odetchnąłem z ulgą, widząc, że brat jak zwykle pracuje w sklepie. Spóźniłem się tego dnia do pracy, ale mój szef nie miał o to do mnie pretensji, kiedy wyjaśniłem mu powód spóźnienia. Ludzi powieszonych widywało się dość często w latach okupacji. Jadąc kiedyś ulicą Leszno (obecnie Solidarności), której połowa należała do terenu getta, widziałem powieszonych na balkonach kilku mężczyzn. Było to w budynku naprzeciw gmachu sądu.

W maju 1943 roku, za namową starszego brata, który przed wojną był prezesem Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół" w Markach, wstąpiłem do Armii Krajowej, VII Obwód "Obroża", II Rejon "Celków". W czasie Powstania było to zgrupowanie "Folwark". Jego dowódcą był kapitan Henryk Okińczyc

- o kryptonimie funkcyjnym "Właściciel", noszący w czasie konspiracji pseudonim "Bil".

Po złożeniu przysięgi przeszedłem szkolenie w zakresie posługiwania się bronią. Do celów szkolenia służyły nam najczęściej pistolety oraz granaty tak zwane "filipinki" albo "sidolówki". Ćwiczenia prowadzili z nami: Jan Jurecki "Broda" i podchorąży Wacław Struś "Hal". Odbywały się one w pokoju bilardowym przy bufecie prowadzonym przez matkę "Hala" na stacji kolejki w Markach.

Podchorąży Struś czyli "Hal" rozprawdzał także wśród zaufanych znajomych srebrne pierścionki z orłem w koronie. Pierścionki te mają do dnia dzisiejszego: była łączniczka Helena Lipska oraz prezes naszego II Rejonu - p. Łękowski. Mój, niestety, zginął w czasie pożaru domu, gdzie mieszkałem.

Rok 1943 upamiętnił się nalotami na Warszawę dokonywanymi przez lotnictwo Armii Czerwonej. Nad miastem zawisały wówczas rakiety na spadochronach, co dawało widok piękny i przerażający zarazem, bo naloty odbywały się z reguły nocami. W tym czasie został zbombardowany między innymi szpital niemiecki zainstalowany w budynku gimnazjum im. Władysława IV. Jedna z bomb trafiła w jezdnię obok kościoła św. Floriana.

W czerwcu 1944 roku, w lesie koło Strugi, odbyła się zbiórka całego naszego oddziału. Zebrało się paruset ludzi. Byli wśród nich moi znajomi i osoby znane tylko z widzenia, albo i całkiem nieznane. Aż do tego dnia nie wiedzieliśmy o sobie nawzajem, że należymy do tej samej jednostki. Poczuliśmy się jedną wielką rodziną, zaprzysiężoną w różnym czasie i w obecności różnych osób, ale wszyscy mieliśmy jeden cel: walkę z okupantami na śmierć i życie. Każdy miał przed oczyma hasło: Bóg, Honor, Ojczyzna. Przedefilowaliśmy przed jakimś wyższej rangi przełożonym, którego nie znaliśmy.

30 lipca wypadł w niedzielę. Idąc do kościoła widziałem jadący od strony Radzimina długi sznur samochodów wiozący w kierunku Warszawy żołnierzy niemieckich. W czasie mszy, właśnie kiedy ksiądz mówił kazanie, zrobił się w kościele jakiś ruch i ludzie zaczęli szybko wychodzić. Wyszedłem również, ciekawy, co się dzieje. Przed kościołem czekał na mnie brat, pełniący funkcję zastępcy dowódcy plutonu 737. Dał mi rozkaz powiadomienia kolegów z sekcji o zbiórce na godzinę 11⁰⁰ w rejonie cmentarza w Markach. Rozkaz wykonałem i wstąpiłem do domu, żeby pożegnać się z rodzicami i siostrami. Tam czekali już na mnie: brat Eugeniusz Broma "Wir-Wit" oraz szwagier Jan Augustyniak. Żegnając się ze mną matka bardzo płakała. Pamiętam jej słowa:

- To i ty idziesz? - szlochając, długo trzymała mnie w uścisku, aż wreszcie musiałem wyswobodzić się z matczynej objęć i szybko poszed-

łem, nie oglądając się, bo ciężko było patrzeć na rozpacz rodziców. Trudno się im dziwić, bo w pracy konspiracyjnej była zaangażowana spora gromadka członków naszej rodziny: mój brat Eugeniusz, ja, Irena Broma - żona Eugeniusza - pseudonim "Julia", moja siostra Helena Broma z męża Anderst - pseudonim "Jesień".

Kiedy już wszyscy zebraliśmy się w rejonie cmentarza, przeszliśmy do lasu i tam rozdzielono nas na sekcje, drużyny i plutony. Zajęci sprawą rozdziału na jednostki, nie usłyszeliśmy warkotu nadjeżdżającego samochodu. Byliśmy przekonani, że to Niemcy, więc dowódca - Stanisław Dąbrowski - "Wiktor" - dał rozkaz rozproszenia się wśród drzew i ukrycia w poszyciu leśnym. Okazało się jednak, że byli to nasi koledzy, którzy wykurzyli Niemców z budynku szkoły w Pustelniku II, na pozostawiony przez Niemców samochód załadowali broń i wszystko, co Niemcy zostawili i całą tę zdobycz przywieźli do nas. Bardzo nas to ucieszyło, bo broni nie było za wiele. Na zbiórkę przynieśli przechowywaną u siebie broń bracia Jędrzejewscy: Zdzisław - "Jur" i Ryszard - "Ryś" albo "Znój", wdobyliśmy także broń przechowywaną na cmentarzu. Bracia Dolewscy: Jurek i Ryszard przynieśli rozmontowany lekki karabin maszynowy, a Ryszard Dominiak, pełniący funkcję amunicyjnego, dostarczył naboje. Broń tę rozdzielono między nas. Starszym kolegom dostały się karabiny, nam, młodszym granaty.

Tak uzbrojeni postanowiliśmy się udać w kierunku Strugi, gdzie znajdowało się główne zgrupowanie plutonów 737 i 738.

Kiedy byliśmy na wysokości Rozciszewa (między Pustelnikiem II a Strugą), doniesiono nam, że Niemcy urządzili tam łapankę na mężczyzn. Na rozkaz dowódcy - Stanisława Dąbrowskiego - rozwinęliśmy się w tyralierę i rozpoczęliśmy natarcie w kierunku zabudowań. Ubezpieczał nas lekki karabin maszynowy obsługiwany przez Ryszarda Jędrzejewskiego - "Rysia", "Znoja", Tadeusza Cynarskiego "Szczęśliwego" i amunicyjnego Ryszarda Dominiaka.

Dobiegliśmy do szosy, biorąc do niewoli trzech żołnierzy niemieckich, którzy pod eskortą zostali odstawieni do naszego zgrupowania. Prowadziliśmy dalej natarcie w kierunku Pustelnika II i Pustelnika I. Przy stacji kolejki mareckiej został ranny w łokieć Zbyszek Dudziński "Piec". Niemcy stawiali opór, ostrzeliwując nas z broni maszynowej. W pierwszym momencie byli zaskoczeni i cofali się, jednak potem, mając przewagę liczebną i lepsze uzbrojenie, zmusili nas do wycofania się. Zajęliśmy stanowiska w Strudze na skarpie rowu biegnącego wzdłuż szosy do Zegrza. Po jakimś czasie nadleciały samoloty. Jak się potem okazało, przeprowadziły one rozpoznanie naszych pozycji, bo w chwilę potem rozpoczął się ostrzał artyleryjski naszych stanowisk. Na szczęście pociski padały niecelnie, rozrywając się 30-40 metrów przed lub za naszymi stanowiskami. Ale i to było niebezpie-

czne, bo nie byliśmy okopani i odłamki świstały wokół nas. Jeden z kolegów, zalegający koło mnie, został ranny w udo. Nawala ognia trwała mniej więcej 15 minut. Spodziewaliśmy się, że po ogniu artyleryjskim nastąpi atak czołgów i piechoty niemieckiej, ale nic takiego nie nastąpiło. Zapanowała cisza. Korzystając z tego, dowódca wydał rozkaz ścięcia drzew wzdłuż szosy prowadzącej do Zegrza, aby w ten sposób stworzyć zaporę przeciwczołgową.

Pod wieczór oddział nasz udał się do lasu w Strudze, niedaleko tartaku. Dowódca plutonu "Wir-Wit" wybrał Romana Grabowskiego - "Dziadka" i mnie na podszuch. Stanowisko podszuchu wyznaczone było na skrzyżowaniu drogi Struga - Nieporęt z drogą leśną prowadzącą do tartaku.

Okolo północy usłyszeliśmy strzały. Początkowo myśleliśmy, że to żołnierze z naszej leśnej zasadzki strzelają do Niemców. Kolega Grabowski udał się do oddziału, żeby dowiedzieć się przyczyny strzałów. Okazało się, że zostali rozstrzelani trzej jeńcy niemieccy w drodze odwetu za stracenie przez Niemców kilkudziesięciu mieszkańców miejscowości Rozciszew i Pustelnik II.

O brzasku zostaliśmy zdjęci z podszuchu, gdyż nasz oddział przenosił się do wsi Pólko koło Strugi. Idąc przez zagajnik, zobaczyliśmy na wysokości Góry św. Antoniego zamaskowane czołgi Armii Czerwonej. Nasze dowództwo zatrzymało się, żeby nawiązać kontakt z dowódcą czołgów, my ruszyliśmy dalej.

We wsi Pólko przenocowaliśmy w opuszczonych domach. Rano dowiedziałem się, że zostałem wyznaczony przez dowódcę kompanii Albina Furczaka 'Alfa' - na łącznika. Miałem nawiązać kontakt z oddziałem Armii Krajowej w Kobyłce. Ruszyłem więc w drogę razem z Bohdanem Trąbaczynskim - "Pi". Po wykonaniu rozkazu wróciliśmy do wsi Pólko, ale tam nie zastaliśmy już naszego oddziału. Jedynym śladem, jaki pozostał po naszych, był samochód po osie ugrzęzły w glinie i bez benzyny.

Ruszyliśmy więc na poszukiwanie oddziału, niestety, nie znaleźliśmy go, wobec czego zgłosiliśmy się do oddziału w Kobyłce, gdzie zostaliśmy dokooptowani.

Po kilku dniach oddział z Kobyłki wycofał się do Wołomina i zajął budynek szkoły w pobliżu stacji. W nocy poderwał nas alarm bojowy. Wyruszyliśmy razem z czołgami Armii Czerwonej, które z wygaszonymi światłami wycofywały się w kierunku Okuniewa. Droga, którą posuwaliśmy się, była ostrzeliwana przez artylerię niemiecką. Kolumna czołgów na kilka kilometrów przed Okuniewem skręciła w lewo, my poszliśmy dalej.

Nie zapomnę widoku Okuniewa. Ruiny, zgliszcza, na błotnistej drodze zabici ludzie, strzępy ciał ludzkich, koni, bydła. Nad tym unosił się niesamowity smród, zatykający dech w płucach. To, co wówczas widziałem,

mam stale jeszcze przed oczyma i chyba pozostanie to już ze mną do końca. Tego nie da się zapomnieć.

Dotarliśmy do wsi Długa Kościelna. Miejscowe kobiety ugotowały nam obiad, potem kolację. Dowódca, Henryk Pakuła - "Pęk" rozstawił warty i ułożyliśmy się do snu w drewnianym dworku. Nie byliśmy pewni, czy dach nie zawali się, więc razem z kolegą Trąmbczyńskim ułożyliśmy się spać pod stołem wielkim, mocnym, o masywnych nogach.

Okolo północy zbudził nas straszny huk, poczuliśmy ciepło i zobaczyliśmy ogień. Trwało to zaledwie kilkanaście sekund, ale kolegę Trąmbczyńskiego zamoczyło, bo zrywając się nagle ze swego pościela pod stołem, wyrzwał głową w jego blat od spodu. Początkowo myśleliśmy, że to pociski niemieckie zapaliły nasz dworek, ale w chwilę potem dowiedzieliśmy się, że to zagrały słynne sowieckie "katusze", o których dotąd nie słyszeliśmy. Katusze na szczęście odjechały, a my położyliśmy się na powrót spać.

Rano, po śniadaniu, dowódca poprowadził nas w kierunku szosy wiodącej do Mińska Mazowieckiego. W drodze tej byliśmy kilkakrotnie ostrzeleni przez artylerię niemiecką.

W Mińsku udaliśmy się do kościoła na mszę świętą, a potem skontaktowaliśmy się z władzami Mińska. Otrzymaliśmy zakwaterowanie w odległej o 4-5 kilometrów od Mińska hucie szkła. Dostaliśmy też przydział słomy, kaszy i soli, kartofle były na polu.

po obiedzie zebrał nas dowódca i oznajmił nam:

- Dowiedziałem się, że żołnierzy Armii Krajowej z Mińska Mazowieckiego i okolic zabrano i wywieziono w nieznanym kierunku. Jako wasz obecny dowódca rozwiązuję pododdział i zwalniam z przysięgi. Kto chce niech wstąpi do wojska polskiego, może też przeczekać i wrócić do domu. Jedno wam zalecam: nie przyznawajcie się do przynależności do Armii Krajowej. Tak trzeba. Nie należeliście, nie znacie dowódców. Broń, którą macie, ukryjcie gdziekolwiek, nie niszczyć jej. Teraz co kilka minut po dwóch, trzech - rozchodźcie się, gdzie kto uzna za słuszne. -

Tak oto nasz pododdział przestał istnieć. Trzeba było odtąd samemu troszczyć się o swój los. Razem z kolegą Trąmbczyńskim zgłosiliśmy się do pracy przy sprzącie zboża za jedzenie i spanie w stodole.

20 sierpnia, kiedy pracowaliśmy na polu, zgarnęło nas NKWD, mówiąc, że idziemy do wojska. Przez cztery dni byliśmy przetrzymywani w szopie razem z mniej więcej dwudziestoma innymi osobami wcześniej zatrzymanymi. Przez całe cztery dni i noce byliśmy przesłuchiwanymi, bez chwili wytchnienia, bez przerwy. W czasie przesłuchania leżał na stole enkawudzista pistolet lub nagan i pod groźbą użycia broni wypytywali nas o dowódców. Były chwile załamania. W czwartym dniu przesłuchania mnie enkawudzista podszedł do drzwi, zostawiając na stole pisto-

let. Natychmiast przyszło mi na myśl, żeby sięgnąć po broń, zabić jego i siebie, żeby raz skończyło się to piekło. Dzieliła nas odległość 4-5 metrów.

- Boże, a może to prowokacja? - przemknęło mi przez głowę. Może pistolet nie jest nabyty, a jeśli po niego sięgnę, zdradzę się, że miałem do czynienia z bronią.

- Boże, wesprzyj, ratuj, oświeć mnie, co mam robić - modliłem się żarliwie.

Nie sięgnąłem po broń. I dobrze, bo było to ostatnie przesłuchanie. W nocy przyjechały Studebeckery i zawiozły nas do Majdanka.

W Majdanku ulokowano nas na tak zwanym pierwszym polu, dla odbycia kwarantanny. Było to, jak sobie przypominam, gospodarstwo ze studnią, z której braliśmy wodę do picia. Po kilku dniach przeszliśmy z kolei na drugie pole Majdanka. Dużo słyszałem o Majdanku w czasie okupacji. Trzech moich kolegów: Stanisław Trzonek., Henryk Fabiszewski i Henryk Jastrzębski byli w latach 1943-1944 wywiezieni właśnie do Majdanka. Jednak to, co zobaczyłem w miesiąc po powstaniu PKWN, przechodziło moje najbardziej koszarne wyobrażenia o okupancie. Nie mieściło się wprost w głowie, że człowiek mógł niszczyć i zabijać w tak okrutny sposób dzieci, młodzież, starszych ludzi. Widzieliśmy barak pełen różnej wielkości obuwia, stopy ostrzyżonych włosów, doły pełne ludzkich szkieletów posypane wapnem. Widziałem krematorium, haki przeznaczone do wyciągania ciał z brodzika, gdzie rozcinano brzuchy przeznaczonych do spalenia w poszukiwaniu złota. Nie wyobrażałem sobie, że człowiek może coś takiego wymyślić przeciw drugiemu człowiekowi. To była prawdziwa fabryka śmierci pracująca na pełnych obrotach przez 24 godziny na dobę. Tak mówili o Majdanku koledzy mieszkający w Lublinie, którzy wachali swąd dochodzący do miasta, gdy wiatr wiał od strony obozu.

Kompania, do której zostałem przydzielony, miała zająć trzeci barak po lewej stronie. W baraku tym zastaliśmy trzypiętrowe łóżka zbite z desek, na nich papierowe sienniki napchane słomą, cuchnące, ze śladami moczenia, rojące się od robactwa. Na stołach pozostawiono na aluminiowych talerzach resztki zielonej, cuchnącej cieczy. Całą powierzchnię ścian pokrywały nazwiska i miejscowości, skąd pochodzili ludzie, którzy przeszli przez obóz. Próbowałem odszukać nazwiska moich kolegów, ale nie znalazłem ich.

Zaraz na progu baraku rzuciły się na nas roje pcheł, wskakujących do oczu, nosa, ust.

Tymczasem dowódca baraku zarządził zbiórkę i polecił nam doprowadzić barak do stanu używalności, jeśli mamy tu zamieszkać. Wzięliśmy się więc do roboty. Wynieśliśmy łóżka na zewnątrz i zaczęliśmy je czyścić.

Ujawniły się nieprzeliczone roje pluskiew, tkwiących w szparach, dziurach i zagłębieniach. Sienniki spaliliśmy. Resztki jedzenia postanowiliśmy zakopać. Kopiąc w tym celu dół, natrafiliśmy na jakiś twardy przedmiot. Jak się okazało, były to ludzkie kości, zakopane tuż przy ogrodzeniu obozu. Powiadomiony o tym dowódca baraku kazał dół zakopać i postawić na nim zbity z desek krzyż. Prawdopodobnie odkryliśmy szczątki więźnia-samobójcy, który zginął dotknąwszy drutów ogrodzenia będących pod silnym napięciem.

Po uporządkowaniu i umyciu baraku zjedliśmy kolację, potem jeszcze apel, modlitwa i capstrzyk. Po ciężkim dniu zasnąłem natychmiast, ale nie na długo, bo zaczęło coś po mnie łaźić, skakać, gryźć. Przebudzili się także moi koledzy. Okazało się, że przerwały nam sen roje insektów, które spadały na nas z sufitu. Zmieniliśmy koszule, wytrząsając robactwo, ale nic to nie pomogło. Widząc, że nie zasnę, wyszedłem przed barak. Zobaczyłem drabinkę sięgającą dachu i wdparałem się tam. Przekonałem się, że już ktoś tam leży przykryty kocem. Było niemilosiernie zimno, ale nie miałem wyboru i dołączyłem do śpiącego na dachu. Od tej chwili nocowaliśmy tam przez kilka dni.

W pierwszą niedzielę odbyła się na pierwszym placu połowa msza święta odprawiona przez księdza przybyłego z Lublina. Odśpiewaliśmy "Rotę" i "Boże, coś Polskę".

Za kilka dni rozłączono mnie z kolegą Trąmbczyńskim. On - z rocznika 1927 został w Majdanku, ja - urodzony w 1926 roku zostałem skierowany do szkoły podoficerskiej.

Wymaszerowaliśmy z Majdanka w nocy. Szliśmy czwórkami w kilku kolumnach w kierunku Lublina. Dopiero po przejściu przez Lublin, zagrożony w ciemności z obawy przed nalotami niemieckimi, pozwolono nam odpocząć. Po krótkim odpoczynku - marsz dalej. Wówczas to, pierwszy raz w życiu, spałem i śniłem w marszu. Dlatego wpadałem na kolegów idących przede mną, lub wpadali na mnie koledzy idący za mną i drzemający w marszu jak ja.

O świcie dotarliśmy do celu naszej wędrówki - do Lubartowa. Zostałem przydzielony do batalionu moździerzy 1 Zapasowego Pułku Piechoty.